

## *Wybór*

Pomieszczenie chłodne, niemal sterylne. Bez kwiatów, bez książek. Podczas monologu aktorka, nie mogąc usiedzieć w jednym miejscu, co jakiś czas wykonuje pewne czynności typu: prasowanie, układanie rzeczy w szafie, wycieranie nieistniejącego kurzu z mebli, telewizora – w ogóle ze wszystkiego, co tylko nadaje się do przetarcia. Ponadto wykonuje również czynności, które wynikają z treści jej monologu. Do wejścia Aktorki pobrzmiwa muzyka...

Aktorka: Cześć, jestem Dorota. Mam trzydzieści siedem lat, a na koncie – na koncie uczuciowym, naturalnie – kilka nieudanych związków. Powiedziałabym bardziej lub mniej udanych związków, ale te nieudane od tych bardziej udanych różniły się tak na dobrą sprawę bardzo niewiele, albo prawie wcale. Więc uczciwiej jest powiedzieć, że wszystkie one były najzwyczajniej w świecie nietrafione. W końcu dobry związek, to związek partnerski, oparty na zaufaniu, oddaniu i wierności. Niestety, o moich związkach, żadnym z nich tego akurat powiedzieć się nie da. Wszystkie one były nieporozumieniem. Chociaż, czego wykluczyć nie mogę, może i dla niektórych moich partnerów z przeszłości było inaczej. Możliwe. W końcu każdy z nas ma prawo oczekiwać czegoś innego od życia, stawiać inne wymagania sobie i swoim partnerom. Ja jednak, wiążąc się z nimi, doznawałam, krótko mówiąc, rozczarowania. Tak, wszystkie moje związki – bez wyjątku – okazały się rozczarowaniem!

Pauza.

Myślicie, że to dobry powód, żeby się napić? Nie? Być może macie rację. Ja się jednak napiję. (Podchodzi do barku, bierze opróżnioną częściowo butelkę wódki i nalewa

do szklanki. Następnie idzie do lodówki (poza sceną), wyciąga z niej kilka kostek lodu i wrzuca do alkoholu. Wraca. Pije.) No, tego mi brakowało!

Krótką pauza.

Więc, tak jak już wcześniej powiedziałam, mam trzydzieści siedem wiosen i... i zim również, chociaż nie – zaraz, trzydziesta siódma będzie ta teraz, która nadejdzie. Póki co mam ich nadal trzydzieści sześć. Jestem młodsza o jedną zimę! Zatem nie jest jeszcze ze mną tak tragicznie – nie jestem znowu jeszcze taka stara dupa. Młoda też już nie, co prawda, ale stara tym bardziej. No, to piję za młodość! (Pociąga łyk.) Nie będzie wam przeszkadzać, jak sobie trochę poprasuję? Trochę mi się tego uzbierało. (Rozstawia deskę do prasowania, włącza żelazko i po chwili zaczyna prasować.) Na czym to ja... Aha. Pracuję jako kierowniczką w laboratorium w pewnej polsko-francuskiej spółce, produkującej dodatki żywieniowe, i jestem właściwie zadowolona. Nie mówię, że akurat o tym marzyłam i że jest to szczyt moich możliwości. W sumie jednak jest nieźle. Co prawda nierzadko pracuję więcej niż ustawowe osiem godzin, ale to ostatecznie nieistotne. W końcu lubię tę swoją robotę, więc właściwie to żadne poświęcenie z mojej strony. Pracę zaczynam o godzinie ósmej. Żeby się nie spieszyć – bo cholernie tego nie lubię – wstaję już o piątej rano. Najpierw włączam jakąś muzykę, robię sobie kawę, co, jak wiecie, rano skutecznie pobudza pracę jelit, tak zwaną perystaltykę, a następnie biorę się za jakąś babską prasę. Po jej lekturze, bez zbędnego pośpiechu zaczynam poprawiać sobie urodę. Potem wypijam jeszcze jedną kawę, ubieram się i wychodzę. Z reguły około siódmej trzydzieści. Jazda

samochodem zajmuje mi piętnaście minut, więc w pracy jestem kwadrans przed ósmą. A w pracy (pije), cóż, jak to w pracy – raz lepiej, raz gorzej. W sumie jednak idzie wytrzymać. Oczywiście, jak się robi przez kilkanaście lat nieodmiennie to samo i tak samo, to normalne, że w pewnym momencie pojawia się nuda i przyzwyczajenie. Dlatego staram się o tym nie myśleć i wyszukuję sobie dodatkowe zajęcia. Na przykład od jakiegoś czasu – nie uwierzycie – chodzę na lekcje gry na wiolonczeli, a także na kurs języka francuskiego. Dlaczego wiolonczeli? A dlaczego nie? Taki sam instrument muzyczny jak każdy inny. To znaczy może bardziej dostojny od innych, takie przynajmniej odnoszę wrażenie. A ja mam słabość do wyszukanych rzeczy. Lubię szyk i elegancję. Prostactwo i chamstwo odrzucają mnie od siebie na kilometry. Poza tym kiedyś pewien mój znajomy powiedział mi, że wiolonczelistki ogromnie go podniecają. Bo z jednej strony wyglądają cholernie dystyngowanie, z drugiej z kolei jest w nich coś tak seksualnie prowokującego, gdy tak trzymają ten swój instrument pomiędzy nogami, że nie sposób uniknąć właśnie seksualnego z nimi skojarzenia. Oczywiście nie w tym rzecz, żeby w ogóle kogoś tym prowokować, jeżeli chodzi o mnie. Chociaż, tak między nami, podniety nigdy dosyć, prawda? Natomiast, co do języka francuskiego – no, to już inna para kaloszy. Tutaj akurat kierowałam się zgoła czym innym.

(Pije) Jak już wspomniałam, firma w której pracuję, to spółka polsko-francuska – to po pierwsze, po drugie zaś, i co istotne – domyślacie się już? Właśnie, mój ostatni życiowy partner był Francuzem. Chciałam go lepiej rozumieć, więc wymyśliłam sobie ten francuski, tym

bardziej, że w pracy też się przydawał. Niestety, gówno to dało. Jeszcze raz się okazało, że problem nie w zwykłym rozumieniu tego, co kto mówi, ale w wytworzeniu własnego odrębnego języka, jakiegoś wspólnego kodu, który pozwalałby na spotkanie się na jakiejś wspólnej płaszczyźnie. Jeżeli tego nie ma między dwojgiem chcących być ze sobą ludzi, widoki na przyszłość – wspólną przyszłość przedstawiają się raczej mizernie. To musi być język oparty na tym samym, albo co najmniej bardzo podobnym alfabecie. Dlatego dzisiaj wiem jedno: jeżeli jeszcze kiedykolwiek związę się z jakimś obcokrajowcem, to na pewno nie będę się uczyła jego języka. Pieprzę to! Bo albo będziemy mówić od początku jednym wspólnym językiem, albo... albo nie zrozumiemy się nigdy i lepiej taki związek od razu zerwać. Po prostu szkoda naszego czasu, męki i zachodu. (Pociąga kolejny łyk.) Może, gdyby w pewnym momencie w takim związku pojawiło się dziecko... Kto wie, może wtedy byłoby inaczej? (Pauza.) Może. Nie wiem. To tylko domysł, który lepiej żeby pozostał domysłem, niż miał się zrealizować z nieodpowiednim mężczyzną ku mojej rozpacz i rozczerowaniu. Zresztą, właśnie, dziecko – to osobny temat mojej historii. (Pije.) Otóż swego czasu, gdy byłam w stanie tak zwanego otumanienia emocjonalnego, czyli, krótko mówiąc, byłam zakochana, czy może raczej powinnam powiedzieć, że zdawało mi się że jestem, nieopatrznie powiedziałam mojemu ówczesnemu partnerowi, że mogę mieć z nim dziecko. Ot tak, po prostu, wyskoczyłam z tym jak Filip z konopi. Potraktowałam to jako naturalny etap życia i tyle. Ba – nawet przez jakiś czas myślałam, że jestem w ciąży! Na szczęście okazało się to fałszywym alarmem. Tak,

dobrze mówię: na szczęście! Z reguły jednak, muszę przyznać, kłamałam moim partnerom, że chcę mieć z nimi dziecko. Poza jednym przypadkiem, jak mi się zdaje, ale o tym szerzej powiem później. Dlaczego kłamałam? To proste – wszyscy ci mężczyźni, bez wyjątku, chcieli to usłyszeć. Pewnie dlatego, że według nich dziecko, to największy dowód miłości kobiety i oddania się jej mężczyźnie. Kiedyś taki jeden kretyn – ten z tych moich gorszych, żeby nie powiedzieć gorszących związków – wyrzeszczał mi prosto w twarz, że niby coś ze mną jest nie tak, że jestem uchynięta i że w ogóle wariatka ze mnie pełną gębą. No całkiem nienormalna! Darł się: *Normalne kobiety mają instynkt macierzyński, są nakierowane na założenie rodziny, urodzenie dzieci! A ty, ty co? Czy ciebie ktoś, kurwa, skrzywdził w dzieciństwie, że taka pierdolnięta jesteś?! Może to z klucza – rodzinne?* Wiecie, co zrobiłam? Naturalnie, najpierw dostał klapsa w twarz, a trzy minuty później zbierał swoje rzeczy ze schodów. Tylko trzy minuty, bo miał u mnie w sumie pięć rzeczy na krzyż. Nie za dużo, bo i nie za długo u mnie pomieszkiwał. Biwakował raptem tyle, co dzieci mają wakacji razem z feriami. Powiem tak: jak ktoś nie potrafi uszanować moich poglądów, a tym samym mnie, to znaczy, że mamy bardzo nie po drodze i zawsze taki związek czeka podobny właśnie koniec. Zresztą, nie pozwolę się bezkarnie obrażać, na dodatek we własnym domu jakiemuś burakowi. W końcu bycie z kimś, to również szanowanie cudzych poglądów. Można się z nimi nie zgadzać, można z nimi dyskutować, ale na pewno nie wolno ich wyśmiewać i mówić, że są głupie czy nienormalne. Tym bardziej, gdy takie nie są. Bo to by znaczyło, że i ja jestem

głupia i nienormalna. A ja, i to wiem na pewno, taka nie jestem. No, to za zdrowie! Psychiczne również (pije).

Wiecie, co mnie najbardziej irytuje? Że każdy z tych samców myśli, że urodzenie dziecka, to takie nasze bezgraniczne szczęście i naturalne pragnienie, ba – wręcz powołanie, że bez tego nie byłybyśmy pełnoprawnymi kobietami. Pieprzeni, zakłamani faryzeusze! A najgorsi są ci, którzy dzieci albo nie mają – jak księża, albo nawet nie wiedzą że mają – jak wielu polityków. Ci są zawsze pierwsi do głoszenia kazań o naszym macierzyńskim powołaniu. Tylko że żaden z tych cwaniaków nie wie, o czym mówi. Nie wiedzą, jakie ciąża budzi demony w kobiecie, jakie lęki w niej się rodzą, jak ją ona zniekształca i wykańcza fizycznie, w ogóle, jak nieznośnym i przykrym jest stanem. Nic nie wiedzą i tak naprawdę wszystkich tych hipokrytów gównem to obchodzi. Masz kobieto rodzić, bo takie jest prawo natury i presja środowiska. My ci każemy! Bo my jesteśmy kumplami Boga, a On tak chciał. Więc nie odzywaj się, bezmyślna babo, tylko zachodź w ciążę, ródź kolejnych obywateli – najlepiej katolików-patriotów, a potem ich wychowaj. Przy okazji pierz, gotuj, zajmuj się domem, mężem – tym naszym panem i władcą, bądź kochanką, darmową służbą domową i wszystkim innym, co będzie akurat niezbędne. Aha, no i jeszcze pracuj zawodowo. I to jak najdłużej, bo przecież dłużej żyjesz od mężczyzny. To jest kpina – kpina z naszego życia! Nie zgadzam się na taki scenariusz. Dlatego sama decyduje o tym, jak mam żyć. Oczywiście, wiem, że inni uważają mnie właśnie przez to, że nie mam i nie chcę mieć dzieci, za taką, co to z nią nie wszystko w najlepszym porządku. I co z tego? Od kiedy tylko pamiętam, chyba ledwie skończyłam dwadzieścia dwa

lata, słyszałam wokół: *Kiedy ty w końcu się ustatkujesz? Znajdziesz jednego, stałego partnera, a nie co tydzień nowego chłopaka, i zdecydujesz się na dziecko? Myślisz już o tym? Pomyśl. A ile zamierzasz mieć dzieci?* Wszystkie te dobre ciocie-klocie starały mi się wytłumaczyć, ile to w macierzyństwie jest zalet i że jak nie zdecyduję się na nie teraz, za młodu, to potem będzie za późno. Tak jakby dwudziesto-, czy też trzydziestoparoletnia kobieta miała już wszystko za sobą, jej życie było skończone, a ona sama stała nad grobem i jeżeli już – teraz nie wyjdzie za mąż, to niechybnie czeka ją staropanieństwo i śmierć naturalnie. I tyle jej. Mówiły: *Wiesz, jesteś potworną egoistką! Gdyby twoja matka myślała podobnie jak ty, to wiedz, kochanie, ale, niestety, nie byłoby ciebie na świecie, nie byłoby ciebie tutaj z nami.* Jak kiedyś odparłam na ten zarzut, że może właśnie byłoby lepiej – dla mnie, dla mamy, dla wszystkich, to myślałam, że mnie zlinczują. *Jak w ogóle możesz tak myśleć! To nieludzkie. Oczywiście, to wszystko przez to, że nie masz dzieci. Dlatego jesteś taką cyniczną i zgorzkniałą kobietą. Ale jak urodzisz, to na pewno ci się odmieni. Dziecko, to powołanie i sens życia każdej kobiety. I lepiej dla ciebie, żebyś to zrozumiała, zanim będzie za późno. Bo z tym jest tak, kochanie, że dopóki nie masz dziecka, nie spełniasz się, więc nie jesteś prawdziwą kobietą! Jak najszybciej musi się w tobie odezwać instynkt macierzyński. Dla twojego dobra, kochanie. Wtedy wszystko wróci na swoje właściwe tory.* Na moje argumenty, że utrzymanie dziecka to nie taki znowu mały koszt, że trzeba je ubrać, nakarmić, zadbać o zabawki, odżywki, szczepienia, pieluchy i tak dalej, i tak dalej, odpowiadały z niezmaconym spokojem: *Nie myśl o tym. Wiesz, co jest dziecku najbardziej*

*potrzebne? Miłość. Matczyna miłość. A cała reszta jakoś się ułoży. Prawda, jakie to proste – jakoś się ułoży. (Pije.) I pusta. (Napełnia ją ponownie, po czym wychodzi po lód, a następnie wraca. Po drodze dostrzega kurz na telewizorze, podchodzi więc do niego i rękawem zaczyna go wycierać.) Cholera, skąd ten kurz się bierze? Gdybym mogła, przeprowadziłabym się na księżyc. Tam, o ile mi wiadomo, problemów z nim nie ma. (Wznosi toast.) Za ciebie, księżycu ty mój!*

Po chwili.

O czym to ja... Aha, no właśnie, tylko co zrobić w sytuacji, gdy się dzieci po prostu nie lubi? Nie cierpi się ich wycia, pisków, wrzasku, zasranych pieluch. Co zrobić, gdy najzwyczajniej w świecie nie lubi się tych upapranych jedzeniem stworzeń, nierzadko zarzyganych, zaświnionych i brudnych jak ostatnie nieszczęście? No, co wtedy? Czy wówczas też wszystko jakoś się ułoży? Poza tym ja na samą myśl o rozstępach na brzuchu, piersiach i udach, mdłościach i ustawicznym zmęczeniu i zniechęceniu dostaję po prostu spazmów! I jeszcze na dodatek to bezkarne kopanie w brzuch przez tego bachora. Nie, to na pewno nie dla mnie. Dziękuję. (Pociąga łyk.)

Pauza.

O, żebyście wiedzieli o czym mówię, opowiem wam, co mi się kiedyś przytrafiło. Siedzę sobie w parku, piękna pogoda, słońce przedziera się przez liście drzew, w powietrzu unosi się zapach kwiatów, a tuż obok mnie w pewnym momencie zajmuje miejsce na ławce taka młodociana mamuśka ze swoim szczęściem, które w



następnej chwili wyciąga z wózka i sadza sobie na kolanach, wydając przy tym niezrozumiałe dla mnie pomruki pełne zachwyty i niewytłumaczalnego uniesienia. Nagle, patrzę, a ona rozchyła temu posrańcowi spodenki i daje nura swoim nosem w ich otchłan i pieprzy wniebowzięta: *A co my tutaj mamy? Mój bobasek nakupkał, zrobił bu-bu? Nic to. Mamusia zaraz przewinie swojego bąbelka i znów będzie czysty i pachnący, tak?* I już wiedziałam, że mogę szukać następnej ławki, zostawiając za sobą mało urzekające opary z gaci tego małego śmierdziela. Czy naprawdę o to w tym wszystkim chodzi? To ma być przeznaczenie każdej kobiety? No, może innych, ale na pewno nie moje. Pieprzę takie przeznaczenie! Ja tam wolę od czasu do czasu wpaść na jakąś imprezkę, napełnić szkło czymś przyjemnym dla podniebienia (pociąga kolejny łyk), zabawić się. A w ogóle mój stosunek do zagadnienia potomstwa bardzo dobrze obrazuje taki oto teścik, na który natrafiłam jakiś czas temu w jednym z miesięczników. To był test na rodzica. Wyglądał mniej więcej tak: Przespaceruj się do apteki i wydaj w niej całą swoją pensję. Następnie wyjdź, uprzejmie dziękując. Po drodze do domu kup całego arbuza, zawieś na sznurku pod sufitem, zrób w nim otwór wielkości, ciut większy niż łyżeczka do herbaty, i spróbuj go nakarmić jogurtem tą właśnie łyżeczką. Potem weź kozę i idź z nią do supermarketu. Zrób normalne zakupy, pilnując naturalnie kozy, a przy kasie zapłać za to, co masz w koszyku i za to, co zniszczyła i zżarła po drodze koza. Jeśli chcesz mieć dwójkę dzieci, zabierz ze sobą dwie kozy. Tyle tekst. Prościutki, prawda? Zatem, wszyscy chętni – powodzenia! (Pociąga kolejny łyk ze szklanki.) Co do mnie, to wiedziałam, że za żadne Chiny takiego testu nie zdołam

zaliczyć. To jedynie utwierdziło mnie w przekonaniu, co do słuszności mojej decyzji nieposiadania dzieci. Tym bardziej, że jakoś szczególnie nie odczuwam presji przekazania genów następnym pokoleniom. Z jednego prostego powodu: życie jest po prostu, według mnie, zbyt mocno przereklamowane. I tyle. Dlatego też, jeżeli już warto w ogóle pałętać się po tym świecie, to przynajmniej na tyle dla siebie, żeby na łożu śmierci nie żałowało się swojego istnienia. Może i dziwna filozofia, ale uczciwa i jedyna, na jaką mnie stać.

No, dosyć na dzisiaj. (Wyłącza żelazko, składa deskę do prasowania i chowa rzeczy w szafie – jedne będzie wieszac, inne układać na półce.)

Powiedziałam wcześniej o tym jednym przypadku w moim życiu, kiedy wydawało mi się, że mogłabym mieć dziecko, męża i w ogóle te wszystkie bzdety z tym związane. Właśnie, trafne określenie – „wydawało mi się”. Na szczęście szybko przejrzałam na oczy i wyszłam z tego zac zadzenia umysłu. Ten związek również nie miał żadnych szans. Oczywiście, rozmawialiśmy ze sobą, a jakże. Ale tak naprawdę rozumieliśmy się tylko w jednej sprawie – seksu. We wszystkich innych rozmijaliśmy się zupełnie. Niestety, z czasem i tutaj zaczęło zgrzytać. Stało się to, jak zwykle w takich sytuacjach, całkiem przypadkowo, kiedy odkryłam, że mój wybranek woli oglądać filmy pornograficzne niż pieprzyć się ze mną. Podglądanie bardziej go rajcowało, niż seks w realu ze mną! Przyznam, że fatalnie się z tym czułam. No bo jak to: jestem młoda – miałam wtedy coś około trzydziestki – zadbana, pachnąca, lubiąca seks, a tutaj mężczyzna z którym jestem, preferuje podglądanie tych

spraw u innych, niż ich realizowanie ze mną. Przyznacie, że to co najmniej trochę nienormalne. Nawet przez jakiś czas myślałam, że to może moja wina, może to ze mną coś jest nie tak. Aż zgłosiłam się z tego wszystkiego do seksuologa. Na szczęście on wyperswadował mi z głowy obwinianie siebie i otworzył mi oczy na problem. Okazało się, że ze mną było wszystko w porządku, to z moim partnerem było coś nie halo! I mimo, że nie było mi lekko na sercu – bo chyba jednak byłam w nim, może nie od razu zakochana, ale na pewno poważnie zadurzona – to oczywiście odprawiłam gnojka. Szkoda było czasu i energii na pracę nad nim. Według mnie nie rokował żadnych nadziei. Gdy odszedł czynnik najistotniejszy tego związku, czyli seks, wówczas nie było już innych płaszczyzn porozumienia między nami, na których moglibyśmy się spotkać i próbować coś jeszcze sklejać, ratować. Zresztą, bardzo dobrze. Dzisiaj, jestem tego pewna, niepotrzebnie bym tylko cierpiała i żałowała tego związku do końca swoich dni. A tak jestem wolna i... (robi kolejny łyk) i jest pięknie i kolorowo. No, skończone! (Właśnie poukładała poprasowane rzeczy w szafie, następnie ją zamyka i pociąga kolejny łyk ze szklanki. Siada. Po chwili jednak dostrzega mazę na blacie stołu; podchodzi do niego, najpierw próbuje zetrzeć mazę palcami, następnie rękawem bluzki, aż w końcu, widząc bezowocność swoich prób, idzie do kuchni, bierze szmatkę i na powrót zaczyna w całym pomieszczeniu wycierać kurze, zaczynając oczywiście od tej mazy.) Wiecie, co by mi najbardziej pasowało? Mężczyzna, który miałby jakiś niewielki interes... Sorry, nie to miałam na myśli. Chodzi oczywiście o jakiś własny biznesik, dzięki któremu osiągnęlibyśmy pewien bezpieczny pułap finansowy,

zapieprzając na to solidnie przez parę lat, ale potem, po tych paru latach wyrzeczeń, zaczęlibyśmy czerpać z życia same przyjemności: podróże, spacery po górach, niezłe jedzenie, dobry film, teatr, książka, od czasu do czasu kolacja w fajnej knajpie w towarzystwie przyjaciół, słowem – proste, dobre życie. Tak niewiele, a jednocześnie tak dużo, że aż boję się, że nie do spełnienia. Niestety. Zamiast tego, obawiam się, pozostanie mi zapewne za towarzysza życia pies lub kot. Zapyta pewnie ktoś: *Dlaczego niby pies lub kot, a nie dziecko?* To proste – kot czy pies sam dba o higienę osobistą. Sam załatwia swoje potrzeby fizjologiczne, nie trzeba go ani przewijać, ani wysadzać, nie obudzi cię w środku nocy z przeraźliwym wrzaskiem, nie trzeba poświęcać mu za wiele uwagi, bo sam wybiera moment kiedy chce towarzystwa, nie przeszkadza, nie zmusza do zabawy, co najwyżej podejdzie do człowieka, otrze się o nogę, wtuli i tyle go jest. Poza tym nie wyrośnie z niego, na przykład, jakiś młodociany przestępca, który pewnego pięknego dnia zaczepi mnie i zrobi, co uzna w danej chwili za stosowne, czyli da w pysk, zgwałci, obrabuje, albo i nawet zamorduje. To wszystko może zrobić człowiek, kot czy pies – nie. I to najdobitniej świadczy o wyższości posiadania któregoś z tych zwierząt nad dzieckiem. (Pociąga kolejny łyk ze szklanki.) Gdy mówię o tym w jakimś szerszym gronie, biorą mnie co najmniej za dziwaczkę, jakąś ekscentryczkę, jeżeli nie za osobę z zaburzeniami psychicznymi, która na pewno musiała mieć straszne dzieciństwo. Ale tutaj się mylą. I to jeszcze jak! Miałam wręcz doskonale dzieciństwo! Nic nie musiałam robić i byłam traktowana przez wszystkich niemalże jak księżniczka. Jakbym była jedynaczką. Chociaż miałam

rodzeństwo – dwóch braci, znacznie starszych. Ale to tak, jakbym jednak była jedynaczką. Wiecie o czym mówię. Chuchano na mnie i dmuchano jak na jakiś skarb. Kto wie – może właśnie przez takie a nie inne dzieciństwo bierze się mój stosunek do potomstwa? A może boję się bólu związanego z porodem? (Robi kolejny łyk.) No właśnie, gdyby nie mój strach przed skalpelem już dawno zdecydowałabym się na zabieg podwiązania jajników. Znajomi, ci wżenieni w jakieś stadko naturalnie, nie mogą zrozumieć takiej postawy. Myślą, że przeszłam jakąś straszliwą traumę, za którą płacę całym swoim życiem. A to przecież nie o to chodzi! Dzieci, to w końcu nie tylko zasrane pieluchy czy nieprzespane noce, ale też przede wszystkim brak czasu w takim wymiarze, jaki by się chciało przeznaczyć na realizację własnych zainteresowań i pragnień, to brak czasu na realizację samej siebie! To jest w tym wszystkim najgorsze i nie do przyjęcia przeze mnie. Na to pójść i nie mogę, i nie chcę. Spokój i unormowane życie, bez wstrząsów i zbędnych ruchów, to to, co ma dla mnie ogromną wartość. A że nie widzę w nim miejsca dla dziecka? Cóż, najwyżej, jak to mówi moja przyjaciółka Gabrysia – nie będzie miał mi kto podać nawet szklanki z herbatą lub ziółkami na starość. Na co ja z kolei odpowiadam, że nie mam najmniejszej ochoty fundować sobie dzieciaka tylko po to, żeby mi miał kto podać szklankę, gdy będę stara i zniedołężniała. O wszystko zadbam zawczasu. Zresztą, po co mi jakaś herbata czy ziółka, jak pod ręką mam swoją niezawodną pocieszycielkę. (Pociąga łyk ze szklanki) I znowu pusta. (Opuszcza pomieszczenie, a po chwili wraca z pełną szklanką.) Powiem tak: gdyby było tak, jak ona mówi, to domy starości, tej tak

zwanej *złotej jesieni życia*, świeciłyby pustkami; a tam, jak się nie mylę, póki co, panuje przepelnienie. I to na dodatek przez ludzi, którzy często i gęsto dzieci mają. Więc pieprzę tę szklanę z herbatą czy ziółkami! Sama ją sobie zaparzę, jak będzie trzeba. A jak już naprawdę nie będę mogła, to zapłacę za tę przysługę. Jak pewnie za wszystko. (Dzwoni telefon.) Zdrowie! (Pije.) Cholera!, ani chwili spokoju. (Wyjmuje telefon komórkowy z torby naramiennej.) O wilku mowa. Tak, kochanie?... Nie, nie zapomniałam... Oczywiście że będę... Tak, wiem, o dziewiętnastej... Och, Gabi!... Do zobaczenia. Pa! (Odrzuca telefon na łóżko lub fotel, a następnie robi kolejny łyk.) Wybieramy się dzisiaj do teatru, a ta wariatka sprawdza, czy przypadkiem nie zapomniałam o tym. Nie rozumiem jej. Przecież na Alzheimera chyba za wcześnie w moim przypadku. Zresztą, nieważne. (Robi kolejny łyk.)

Po chwili.

Mówiłam o dziecku, tak? Więc dobrze, załóżmy, że mam to cholerne dziecko, urodziłam je. Chciane czy niechciane – nieistotne. Byłoby. Oczywiście, wszystko mogłoby nawet nieźle wyglądać. Pod jednym wszakże warunkiem: że byłoby zdrowe! Bo gdyby miało urodzić się chore, obarczone jakąś paskudną chorobą, mogłabym nie wytrzymać i... i po prostu zniechęcić je! A nie daj Boże, żebyśmy przeżyła na dodatek jakąś depresję poporodową. Wtedy na pewno bym je odrzuciła. Mur beton! No bo niby co miałabym zrobić, gdyby to dziecko ryczało po kilka godzin w dzień czy w nocy, a ja nie wiedziałabym, jak je uspokoić, bo nie dałoby się uspokoić nikomu i w żaden sposób?! W moich uszach, w mojej głowie byłby tylko jeden

wielki wrzask. Co wtedy, gdyby karmienie było niekończącą się drogą przez mękę, zakończoną rzyganiem, a wszystko to okraszone byłoby zwalającą z nóg lekarską diagnozą, że, niestety, ale moje dziecko jest upośledzone? Jeszcze nie wiadomo w jakim stopniu, ale jest! Niepodważalnie! Czy w takiej sytuacji znalazłabym w sobie choć trochę tej naturalnej matczynej miłości, o której z taką pewnością rozprawiły moje ciotki? Nie, nie wiem, co bym zrobiła. Czy byłabym to w stanie przyjąć i zaakceptować, pogodzić się z tym. Nie myślę. Więcej – jestem nawet pewna, że miałabym różne myśli, bardzo niedobre różne myśli łącznie z... Tak, powiem to: myślałabym nawet o jego śmierci! (Ponownie pije, teraz nawet więcej.) O! (przykłada prawą rękę do lewej piersi), spokojnie, tylko spokojnie. (Głęboko oddycha, powoli.) Cholera, znowu niepotrzebnie się uniosłam. Głupia baba ze mnie. Niestety, w tym świetnie działającym do niedawna mechanizmie coś się zaczęło ostatnio psuć. Po prostu serducho nie wytrzymuje. Ja, zawsze zdrowa, smukła, dbająca o kondycję, wiecie – fitness, tenis, siłownia, odpowiednia dieta, aż tu nagle kiedyś nie mogę złapać tchu – tak jak dzisiaj, robię się czerwona, tak to czuję, bo przecież nie przeglądałam się w lustrze, tylko czuję, że robi mi się tak jakoś ciepło, dziwnie, że aż się przeraziłam. Przysiadłam sobie na łóżku i zaczynam bardzo wolno oddychać i powolutku dochodzić do siebie. Następnego dnia wylądowałam u kardiologa, który kazał mi zrobić jakieś tam badania typu cholesterol, cukier i tak dalej, a na koniec, co dziwne, dał mi skierowanie do psychoterapeuty. Ja do psychoterapeuty! Wymyślił, niedouczony konował. Nie potrafił sam sobie poradzić, to odsunął problem od siebie, podrzucając go komuś innemu.

To znaczy mnie podrzucił komuś innemu. Tak jakbym była nic nieznaczącym śmieciem. Ale, oczywiście, poszłam do tego psychoterapeuty, ściślej – psychoterapeutki. W końcu chodziło o moje zdrowie! I wiecie, co ta pinda powiedziała? Że jestem zbyt przepracowana. Że jestem pracoholiczką, a na dodatek za bardzo ambitną. Powinam wrzucić trochę na luz i przewartościować hierarchię swoich celów. W innym przypadku to, co robię, wcześniej mnie zabije niż wzmocni. Więc jeżeli nie chcę przedwcześnie odejść z tego świata, powinnam założyć rodzinę, urodzić dziecko, spełnić się jako matka i żona. Gdy tego dokonam, ujrzę życie i siebie we właściwych proporcjach, w innym, lepszym świetle i kontekście. Bo teraz, to niby pędzę pociągiem na zatracenie donikąd, a właściwie nie donikąd, do jednej stacji, której nazwa brzmi: cmentarz. Też wymyśliła, baba niegramotna – cmentarz! Że niby ja miałabym umrzeć. Ja! Niedouczona lekarka z rubieży, cholera! Tylko podniosła mi ciśnienie takim bezsensownym gadaniem, głupia cipa. (Pije. Jest już porządnie wstawiona.) Zmienić hierarchię swoich wartości, bo inaczej to... Gówno! Niczego nie zmienię! Może kiedyś, później, ale na pewno jeszcze nie teraz. W końcu trzydzieści siedem lat to jeszcze nie starość – nie dam się pogrzebać za młodu. Nie będę panikowała przez głupią babę. Oczywiście, że nie jestem jakimś laboratoryjnym okazem chodzącego zdrowia – w końcu nie mam piętnastu lat. Ale stara też nie jestem. Mam prawo od czasu do czasu niedomagać. Jakieś ciśnienie nie w normie, ból kręgosłupa, czy zwykła niestrawność – to normalne. Więc nie będzie mi taka niedouczona konowalka wciskała, że jest ze mną tak tragicznie, że jak nie zmienię swojego dotychczasowego życia, swoich przyzwyczajzeń, to... to będzie po mnie. Bo i



tak nic nie zmienię. Słyszycie?! Nie zmienię! Nic. Ani na jotę. Aha, jeszcze powiedziała, podczas mojej czwartej czy też piątej wizyty u niej i, na szczęście, ostatniej – bo już miałam dosyć tej domorosłej pani psycholog – że coś jednak było nie tak z moim dzieciństwem. Głupia byłam, że w ogóle dałam się w tę jej gierkę wciągnąć. Wyciągnęła ze mnie różne takie fragmentaryczne wiadomości i na ich podstawie zbudowała sobie mój obraz, i wyszło jej, że jakoby nie do końca moja matka podołała swojej roli. To znaczy, jak ona to określiła, nie zadbała o moją prawidłową strukturę psychologiczną. I tutaj doszliśmy do dnia dzisiejszego, bo jakoby to właśnie zdecydowało, że dzisiaj nie potrafię ułożyć sobie poprawnych stosunków z mężczyznami. Wyszło jej, że moja mama była kobietą niespełnioną i pewne swoje oczekiwania przeniosła na mnie. Poza tym dodała jeszcze, że mój ojciec też oczywiście nie pozostaje tutaj bez winy. Bo to, jaką była dla mnie matką, to wypadkowa wielu rzeczy, również i tego, jakie miała życie z moim ojcem. To są te same cegiełki tej samej budowli, której nazwa brzmi – środowisko domowe i dorastanie! Jak jej powiedziałam, że moi rodzice to przykład zgodnego, kochającego się małżeństwa, ale ja jednak nigdy nie starałam się powielać jej wzoru, a wręcz przeciwnie zawsze starałam się być inna niż ona, nie taka uległa, to ta cipa odwróciła kota ogonem i powiedziała, że to tak zwana klasyczna przeciwzależność. I że tak naprawdę, to nigdy nie uwolniłam się od jej obrazu i wpływu na moje życie. Cwana baba! W ten sposób chciała zapewne uwiarygodnić trafność swojej diagnozy, a we mnie w ten sposób wywołać nawet poczucie winy. Tylko że ja niczemu nie czuję się winna. Niczemu! (Opróżnia do końca szklanę.) A w ten sposób,

jak ona to zrobiła, dochodzenia do przyczyn naszych zachowań, zawsze można niemal wszystko zakwestionować, i z normalnego, zdrowego na umyśle człowieka zrobić wariata. Ale ja się nie dałam i nie dam zrobić z siebie szurniętej. Nie dam! Bo ja... Mnie nic nie jest, ja tylko... ja przecież... Ja... (zaczyna płakać) ja przecież nie potrafię inaczej... ja... ja nie mogę... Mamo... pomóż mi... Proszę... Jestem tak bardzo samotna...

13.07.2008 r.